

Z wyższych sfer

Beleżący sezon teatralny w Poznaniu zakończył się grubo przed początkiem lata. Na dobrą sprawę można by przyjąć, że Teatr Polski zamknął działalność artystyczną interesującym spektaklem „Dobrego człowieka z Seczuanu”, którego premiera odbyła się wczesną wiosną; wszystko, co działo się potem, było już tylko sztucznym ciągnięciem za uszy, czyli „działalnością usługową”. A więc: tryptyk dramatyczny bułgarskiego autora Chajtowa „Ścieżki” i „Klik-klak” Abramowa.

W Nowym rzecz wyglądała jeszcze gorzej. Po prostu na długo przed końcówką sezonu zrealizowano dość nieoczekiwane „Moralność pani Dulskiej” co stanowiło równocześnie pożegnanie zmieniającej się dyrekcji. Powtórzyła się historia z ubiegłego roku; i wówczas w analogicznym okresie sięgnięto po repertuarowy samograj, aby tylko uniknąć kroku najbardziej drastycznego — zamknięcia teatru.

W tej sytuacji dobrze się stało, że w maju ogłoszono scenę Teatru Polskiego, który wyruszył na gościnne występy do Bułgarii, objął we władanie Teatr im. Bogusławskiego z Kalisza. Poprzedzała go dobra renoma u publiczności i wyjątkowo korzystna opinia prasy. Był i dodatkowy powód, który przez kilkanaście dni ścigał ludzi do teatru: chęć obejrzenia zespołu kierowanego przez Izabelę Cywińską, obejmującą z nowym sezonem dyrekcją Teatru Nowego,

Kaliszanie nie przywieźli, niestety, do Poznania żadnego ze swoich renomowanych spektakli: „Wyzwolenia”, „Szewców”, czy „Śmierci Tarekina”. Postanowili, jak należy sądzić, zaatakować najszerszy krąg publiczności, aplikując adaptację dobrze wypróbowanego przedwojennego bestsellera „Między ustami a brzegiem pucharu” Marii Rodziewiczówny.

Wybór tej właśnie pozycji — po brawurowym sukcesie frekwencyjnym „Trędowatej” — był czymś, co można by określić terminem z dziedziny boksu: pójście za ciosem. Nie bardzo przy tym przekonało mnie credo kaliskiej dyrekcji pomieszczone w programie, w którym *expressis verbis* zapewnia się, że repertuar teatru

„nie dzielił się nigdy na pozycje «festiwalowe» i «użytkowe», na to, co robi się dla honoru i pokazuje «na zewnątrz» i na to, czym po cichu wyrabia się plany. Wszystkie pozycje robione były dla honoru domu i weryfikowane ocenami krytyki...”

Brzmi to tyleż dumnie, co mało prawdopodobnie: żeby nie wiem jakich dokonywać sofistycznych żańców, trudno podciągnąć pod wspólny mianownik Helenę Mniszek i Suchowo-Kobyliną, Wyspiańskiego i Rodziewiczównę. Powiedzmy wprost: w Kaliszu, jak nieomal wszędzie, na ambitne przedsięwzięcie artystyczne zarabia kasowy pewniak. I to bez względu na to, jaką będziemy do tego faktu „dorabiali



„Między ustami a brzegiem pucharu” Rodziewiczówny w Teatrze im. Bogusławskiego w Kaliszu.

Fot. Grażyna Wyszomirska

ideologię”. Tak jest i tak chyba będzie do czasu, gdy nie zajdą bardziej generalne zmiany w strukturze organizacyjnej naszych teatrów.

Ale to nieodkrywcze stwierdzenie wcale nie musi się stać powodem do rozrywania szat. Zwłaszcza że Rodziewiczówna, zademonstrowana przez Cywińską, przy scenograficznym wsparciu Kazimierza Wiśniaka, okazała się wcale smacznym teatralnym daniem. Myślę też, że dla wielu uczonych polonistów spektakl ten mógłby się stać interesującą odskocznią do pewnych przewartościowań i refleksji. Nie, w żadnym wypadku nie zamierzam nikogo przekonywać o ujawnieniu przez teatr nie o-

czekiwanych w lekturze artystycznych wartości tekstu. Tak się nie stało. Był jednak w tej Rodziewiczównie jakiś ciepły klimat, coś niby sztych z epoki, ujęty przez teatr w delikatny cudzysłów. Cywińska — i słusznie — nie próbowała w zasadzie przesterować tej ramotki w kierunku kokietowania prześmieszciami; nie było w przedstawieniu wytartych, kabaretowych chwytów, czy gej-erów rozmaitych pomysłów. Tu i ówdzie znacząco przymrużano tylko do widza oko, co jednak nie zawsze i nie do każdego dochodziło. W zasadzie przez cały spektakl Rodziewiczówna przemawiała swoim romantyczno-patetycznym językiem,

który niekiedy młodych śmieszył, a starych wzruszał.

Adaptacja powieści szła w kierunku uwypuklenia tła epoki, w czym walenie była pomocna świetna oprawa plastyczna Wiśniaka. No, a że i tu mieliśmy do czynienia ze szlachetnym romanssem na wysokim rodzowym szczeblu, można śmiało powiedzieć, że latoś nam hrabiowie obrodzili nie tylko w telewizji i w publicystyce, lecz także i w teatrze.

Cała ta honorowo zrealizowana impreza nie mogłaby się jednak udać, gdyby nie nader sprawne, zdiscyplinowane aktorstwo zespołu. Kto wie, czy to właśnie nie stanowi o największym sukcesie Cywińskiej, nie w tym zresztą tylko spektaklu — umiejętności pracy z aktorami.

Trzeba tu wymienić Zbigniewa Lesienia w trudnej roli hrabiego Wenzela Croy-Dülmena, którego zarówno „narodowy przełom”, jako też miłość do ziemiańskiej panienki z dworku, wypadły w przyjętej konwencji jednakowo przekonująco; Elżbietę Jarosik w roli Jadwigi Chrzastowskiej, miłosnego obiektu hrabiowskich uczuć; a także Janusza Michałowskiego jako odrąconego amanta.

Przyjmując, że pomimo wszystko nie Rodziewiczówna stanowi wstępna wizytówkę Izabeli Cywińskiej w Poznaniu, należy mieć nadzieję, że dynamizm i umiejętność doboru współpracowników — atuty, których nie stało jej poprzednikom — wyprowadzi poznański Teatr Nowy ze ślepego zaułka. Tak więc, do następnego sezonu.

JERZY KORCZAK